

ZYGMUNT ZAHORSKI

(Zarys biografii)^{x)}

Zygmunt Zahorski urodził się 30 kwietnia 1914 r. we wsi Szubina (w pobliżu Kutna i Krośniewic, województwo płockie). Jego ojciec - Stanisław

Zahorski, który był tam nauczycielem szkoły podstawowej, zmarł 18 stycznia 1921 r. Ponieważ mieszkanie służbowe należało przekazać następcy, rodzina (matka i młodeza siostra) została bez domu i środków do życia. Starania o rentę wdowią rozbiły się o przeszkody biurokratyczne (a na adwokatów nie było pieniędzy) i trwały siedem lat. Matka była za słaba do pracy fizycznej a do pracy urzędniczej nie miała wykształcenia. Reszta oszczędności znikła w ówczesnej, błyskawicznej dewaluacji; w zaistniałej sytuacji matka do r. 1928 korzystała z mieszkania i pomocy, kolejno trzech ze swych czterech braci; w lecie 1923 r. i w latach 1924-1926 pracowała jako służąca w majątku "Zameczek" koło Chodcza (woj. włocławskie).



^{x)} Niniejszy skrócony zarys został opracowany przez Komitet Jubileuszowy na podstawie materiałów udostępnionych przez prof. Zahorskiego. W tekście starano się zachować oryginalność ujęcia biografii przez jej Autora. Przy opracowywaniu niniejszego skrótu zostawiono wszystkie te fragmenty, które zdaniem Komitetu są bardzo silnie powiązane z pasją naukową Profesora i Jego wynikami w zakresie matematyki. Za wszystkie skróty, podyktowane nie tylko celami redakcyjnymi, Komitet Jubileuszowy przeprasza serdecznie Drogiego Jubilata; znając bardzo dobrze Profesora a w szczególności Jego wspaniałomyślność, poczucie humoru i niezwykłą skromność - mamy nadzieję, że nam te "cięcia" redakcyjne wybaczy. Odpowiedź Profesora: "wybaczam, skróty w zasadzie słuszne, choć niektórych szkoda".

Komitet Obchodów
Jubileuszu 70-lecia urodzin
prof. Z. Zahorskiego

Do szkoły podstawowej Z. Zahoreki chodził w latach 1924-1928 w Chodczu, Krośniewicach i Pułtusk. Od początku nauki szkolnej zauważył, że ma zamiłowanie i zdolności do matematyki, której uczył się jako samouk ponad program, a nawet stawiał już różne problemy, niektóre z nich udało mu się rozwiązać. Były to jednak "odkrycia" dawno znane, pierwszy wynik naprawdę nowy uzyskał dopiero w wieku lat 23, na ostatnim roku studiów matematycznych.

We wrześniu 1928 r. zdał egzamin i został przyjęty do piątej klasy męskiego gimnazjum humanistycznego, im. ks. Piotra Skargi w Pułtusk; w tym okresie mieszkał u brata matki w leśniczówce na Popławach, 2 km od Pułtuska; następnie przeniósł się na stancję w Pułtusk w r. 1931. Utrzymywał się tam z korepetycji, których nie brakowało Mu ze względu na to, że cieszył się opinią najlepszego matematyka w gimnazjum.

W r. 1932 skończył gimnazjum i we wrześniu tego roku bez przygotowania zdał z odznaczeniem wstępny egzamin konkursowy na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej; do studiowania zamierzał obrać - po zaliczeniu 2 lat studiów - najbardziej zmatematyzowaną sekcję, którą w tym czasie była sekcja lotnicza. Odznaczonych po egzaminie wstępnym było czterech, na 190 przyjętych i na ok. 360 zdających. Obierając studia techniczne nie kierował się względami zarobkowymi w przyszłości, lecz niechęcią do zawodu nauczyciela szkoły średniej. Jednakże właśnie w r. 1932 znacznie podniesiono czesne na wyższych uczelniach, a studenci I roku nie mieli prawa do odroczeń czesnego ani do stypendiów państwowych. W ten sposób, a nie przez podniesienie wymagań egzaminacyjnych, ówczesne władze przeciwdziałały "nadprodukcji inteligencji". Czesne na I roku politechniki wynosiło 320 zł i płatne było w dwóch ratach, do tego dochodziła opłata za egzamin wstępny w kwocie 40 zł; była to zawrotna kwota dla Z. Zahorskiego. Renta jego matki w owym czasie wynosiła z początku 80 zł miesięcznie, a później została zmniejszona, w miarę przekraczania 16 lat przez dzieci i w ramach ogólnych obniżek kryzysowo-oszczędnościowych płac i emerytur. Pod koniec, w r. 1938, kiedy matka zmarła, wynosiła już tylko 30 zł mies. Sytuacja na rynku korepetycji była wówczas dla Z. Zahorskiego dużo gorsza niż w czasach szkoły średniej, w Pułtusk: w Warszawie nikt Go nie znał, a studentów poszukujących korepetycji - jako zarobku - było tysiące; dlatego na I i II roku studiów korepetycji w ogóle nie miał. Z odłożonych pieniędzy, zaledwie 300 zł starczyło na: egzamin wstępny; I ratę czesnego oraz zapłacenie za pierwszy miesiąc 75 zł za mieszkanie, z wyżywieniem, w bursie ZNP. Stypendium ZNP, w kwocie 75 zł mies., za pobyt w tej bursie (tj. zwolnienia od płacenia za pobyt), nie zostało Z. Zahorskiemu przyznane. Jego podanie o to stypendium opiniował kierownik bursy, niechętny mu i zawistny nauczyciel podstawówki. Z. Zahorski oświadczył więc owemu kierownikowi, że będzie mieszkał nie płacąc, gdyż jego zdaniem stypendium mu się należało. Pogróżka wyrzucenia siłą była nierealna, bo woźny musiałby się mocować z jego 32 kolegami, a zakaz wstępu do stołówki nie działał,

gdyż kelenrki dawały jego porcję kolegom, a ci przynosili ją Zahorskiemu do pokoju. Nie udało się też kierownikowi wciągnąć Z. Zahorskiego w awanturę, w której kierownik miałby świadka, a student nie. Tego typu incydent byłby dla kierownika pretekstem do usunięcia studenta, tym razem na mocy wyroku sądowego. Po dramatycznych staraniach o przesunięcie choćby o miesiąc terminu płatności drugiej raty czesnego, a następnie po rozpaczliwym szukaniu pieniędzy na zapłacenie tej wierzytelności - Z. Zahorki zdobył wymagane 160 zł, z jednorazowego zasiłku starostwa w Kutnie, który był właśnie w tej wysokości. Ta resztówka budżetowa starostwa uchroniła odznaczanego - na egzaminach wstępnych - studenta od wyrzucenia Go ze studiów, za nieuiszczenie czesnego.

Mieszkać, i to za darmo, w bursie ZNP nie można było jednak przez całe studia. Na wakacje wyprowadzali się bowiem z niej wszyscy, w tym i ci koledzy, którzy chronili niezamożnego studenta, gdyż w tym okresie czasu przeprowadzano remonty; po wakacjach składano od nowa podania o przyjęcie do bursy, które, zwłaszcza dla mieszkańców z ubiegłego roku, opiniował kierownik. Oczywiście szkoda było czasu na pisanie takiego podania, niewykonalne też było wprowadzenie się na zajęte miejsce. Drugi rok studiów Z. Zahorski rozpoczął z 20 zł w kieszeni. Wprawdzie, sytuacja materialna się nieco poprawiła, gdyż Z. Zahorski - mając dużo dobrych i bardzo dobrych ocen z zimowej i czerwcowej sesji egzaminacyjnej - dostał całkowite odroczenie czesnego, tj. kwoty 290 zł "na po studiach", ale w dalszym ciągu nie miał środków do życia: nie dostał nawet połówkowego stypendium; 60 zł mies. W owym czasie otrzymanie obu tych pomocy na Politechnice Warszawskiej było praktycznie niemożliwe, choć być może jakieś protekcyjne wyjątki się zdarzały. Nie tylko urzędnicy kwestury, ale i władze uczelni traktowały studentów jak "natrętne muchy", od których należało się opędzać, bo o zgrozo, zachciało im się studiować i to bez pieniędzy. Oczywiście, lepiej było dostać połowę stypendium - bez odroczenia czesnego, które wtedy przy oszczędnym życiu można było zapłacić. Z. Zahorski złożył też podanie o stypendium miejskie m. Warszawy, 75 zł/mies., ale data rozpatrywania tych podań przez władze miejskie nie była zgodna z datą początku roku studiów. Posiadane na jesienną sesję egzaminacyjną 20 zł Z. Zahorski rozdzielił tak: 10 zł na mieszkanie, tzw. kątem, w kuchni, u pewnego fryzjera, co dawało Mu też prawo do herbaty 3 razy dziennie; drugie 10 zł przeznaczył na suchy chleb w ciągu miesiąca. Po miesiącu właścicielka mieszkania orzekła, że na ogół inni biorą 15 zł za kątek, ale w owym czasie Z. Zahorski nie miał już nawet 10 zł. Wtedy postanowił zamieszkać w domu noclegowym dla bezrobotnych, przy ul. Jagiellońskiej na Pradze; w domu tym można było przebywać od godz. 21 do 6 rano, w dzień dom ten musiał być pusty. Bezdomni spali na gołych drewnianych pryzkach, na gazetach położonych na podłodze czy też na posadzce - gdy pryzce były zajęte; często spano nawet na schodach - z parteru na I piętro, gdy zimno wypędziło nocujących pod mostami i w parkach. To "mieszkanie" w brudzie i przenikliwym zimnie trwało przez ok. 6 tygodni (w listopadzie i grudniu 1933 r.).

W początku grudnia 1933 r. Z. Zahorski dostał od Bratniaka Politechniki, ogólnostudenckiej organizacji samopomocowej, kilkunastozłotowe stypendium mieszkaniowe, w małym domu akademickim na ul. Ceglanej 1 (duży dom na pl. Narutowicza Ministerstwo Oświaty Bratniakom odebrało) i zamieszkał nareszcie w ludzkich warunkach; a nieco wcześniej dostał również od Bratniaka stypendium obiadowe, 75 groszowe bloczki na obiady w studenckiej stołówce, przy ul. Koszykowej. W tym czasie pomogli mu też byli współlokatorzy z bursy i dr J. Stawiński.

W lutym 1934 r. magistrat Warszawy zawiadomił Z. Zahorskiego o przyznaniu Mu stypendium miejskiego, i to płatnego od września 1933 r. wstecz. Wtedy zrzekł się stypendiów obiadowego i mieszkaniowego; mógł też znaczną część pieniędzy posłać matce mieszkającej w Krośniewicach. Stypendium miejskie miało jednak tę wadę, że było jednoroczne; w następnym roku ta pozycja budżetu miejskiego już nie istniała, więc nie dostał go nikt ze studentów.

Przy okazji należy sprostować mylne informacje o Z. Zahorskim w książce wspomnieniowej "Czas przed burzą", Nasza Księgarnia, Warszawa 1973, ss. 118, 163, 164, 170, 215, napisanej przez jego nieco starszego kolegę z Politechniki Warszawskiej. Autorem jej jest dr inż. S. Minoraki. W książce tej miejscami humorystycznej, niektóre fakty są prawdziwe, ale wydarzenie najważniejsze, to o domu noclegowym zostało przez autora opuszczone. Pisał ją bowiem wiele lat po wojnie, więc widocznie zawiodła go pamięć; dodatkowo miejscami myli Z. Zahorskiego z innymi osobami, a znaczna część tych informacji jest błędna. Rzeczą poglądów subiektywnych jej autora jest jego nieco negatywny stosunek do wielkiego filozofa i wzorowego człowieka, prof. T. Kotarbińskiego, ale informacja o stypendiach na matematyce, w Uniwersytecie Warszawskim, więc na terenie nieznanym bezpośrednio autorowi, natomiast znanym Z. Zahorkiemu - jest całkowicie fałszywa.

Autor tej książki zmarł w czerwcu 1981 r. i nie wiadomo, czy będą dalsze jej wydania, wobec czego przytoczono wyżej sprostowanie informacji podanych w tej książce, z braku innej możliwości polemizowania z opisem autora.

Przedmioty czysto techniczne, takie jak części maszyn, czy odlewnictwo nie interesowały Z. Zahorskiego, natomiast wykłady z matematyki, zwłaszcza z niektórych jej działów, które budziły Jego zainteresowanie na Politechnice Warszawskiej były za skromne: bardzo mało algebry, zupełny brak teorii liczb i teorii mnogości, przedmiotów istotnie wówczas inżynierom nie potrzebnych.

Kierując się własnymi zainteresowaniami, w jesieni 1934 r., kiedy zmiana ustawy pozwoliła na studia na dwóch uczelniach, za zgodą rektorów, zapisał się na matematykę na Uniwersytecie Warszawskim; będąc studentem uniwersytetu nie opuszcza jeszcze Wydz. Mechanicznego Pol. Warszawskiej, na którym miał zaliczone niemal całe pierwsze dwa lata studiów, łącznie z częścią 3-miesięcznej praktyki fabrycznej. Na uniwersytecie trafił na zupeł-

nie inny stosunek wykładowców do studentów. Profesorowie Sierpiński, Mazurkiewicz, Kuratowski, byli to wielcy uczeni, którzy popierali ludzi uzdolnionych matematycznie. Dziekan Mazurkiewicz, gdy został zaczepiony na dziedzińcu Uniwersytetu, po skróconym urzędowaniu, bez ważniactwa, jak przystało na prawdziwego uczonego, nie dał wymijającej odpowiedzi, za przyjmuje tylko w godzinach urzędowych w kolejności zapisanych u skratarki, tylko z miejsca obiecał Z. Zahorskiemu obejście przepisów o studentach pierwszego roku, z racji studiów na Politechnice, i przyrzekł pełne odroczenie czesnego oraz pół stypendium, tj. 60 zł/mies. na I roku. Po bardzo dobrze zdanych egzaminach sesji zimowej i letniej 1935 r. Z. Zahorski do końca studiów uniwersyteckich korzystał już z pełnego stypendium, w wysokości 120 zł/mies., i pełnego odroczenia czesnego. Były to dla jednego człowieka warunki wręcz luksusowe, lecz zostały one nieco pogorszone, gdyż około połowy uzyskanych w ten sposób pieniędzy Z. Zahorski posyłał matce. Pełnych stypendiów było dwa na wszystkich czterech latach na całym wydziale (matematyka, fizyka, astronomia, chemia, biologia i geografia), natomiast półowkowych było dość dużo. Drugie stypendium miał też student matematyki, ale nie ten odpowiadający opisowi S. Minorskiego, gdyż był on nie z ONR-ru, lecz z Legionu Młodych, organizacji sanacyjnej, co oczywiście było pomagającą okolicznością, jednak "pozanaukową", aczkolwiek nie jedyną, był to istotnie zdolny matematyk lecz nie tej klasy co Z. Zahorski. Najzdolniejszy matematyk studiujący w owym czasie na wydziale stypendium nie potrzebował, gdyż był zamożny i nie spieszył się z zaliczeniem lat studiów, pozwoliło mu to już na I-II roku studiów pisać prace, w których uzyskiwał nowe wyniki.

Studia matematyczne trwały formalnie 4 lata, faktycznie na ogół dłużej. Z. Zahorski skończył je w ciągu 3 i pół lat w 1938 r. Na Politechnice w tym czasie studiował on w zwolnionym tempie, zaliczając jednak - jak wspomniano - całe pierwsze dwa lata, łącznie z 3 mies. praktyką fabryczną; Z. Zahorski zapisał się na sekcję lotniczą, zaliczając niektóre przedmioty III roku studiów. Było to nieco więcej niż tzw. umownie półdyplom. urzędowo - pierwszy egzamin dyplomowy, choć faktycznie żadnego osobnego egzaminu nie było. Przy tym nie miał już zamiaru kończyć Politechniki, na której studia były mu potrzebne tylko do uzyskania dłuższego, niż z Uniwersytetu, odroczenia ze służby wojskowej, tj. do 26 roku życia, nie do 22, jak z innych uczelni. Nie unikając w zasadzie służby wojskowej, Z. Zahorski nie chciał jednak, aby przerwała mu ona studia matematyczne. W tym czasie zmienił znacznie kierunek specjalności: nie aerodynamika, więc i nie równania różniczkowe o pochodnych cząstkowych, lecz teoria funkcji rzeczywistych, trochę teoria funkcji analitycznych (której fragmenty były też w programie sekcji lotniczej) i szeregi trygonometryczne stały się domeną jego zainteresowań. W r. 1937 na życzenie prof. Mazurkiewicza wydrukował pierwszą, krótką pracę, bez wyniku nowego, ale z nową metodą konstrukcji pewnego rodzaju funkcji; robił to już m.in. Mazurkiewicz, 22 lata wcześ-

niej, ale w sposób dużo bardziej skomplikowany. W tymże roku uzyskał pierwszy wynik nowy, trudny i znacznej wagi, który został uzupełniony w roku 1938; miał on być pracą doktorską wykonywaną u Mazurkiewicza, a zakończenie przewodu było zaplanowane na wrzesień 1939 r. Oczywiście, sfinalizowaniu tych planów przeszkodziła wojna. Po przekładzie tej pracy na język francuski i wysłaniu jej do druku w Bulletin de la Société Mathématique de France w lecie 1939 r., Francuskie Towarzystwo Matematyczne (Soc. Math. de France) zaproponowało Z. Zahorskiemu, aby się do niego zapisał, co też uczynił, wpłacając niskie zrzeszenie wpisowe (11 zł); zapewne wkrótce został skreślony z listy członków wobec niemożności przesyłania - w czasie wojny - również niskiej składki. Nie wiadomo, czy gdzieś pozostał ślad tego zapisu do Soc. Math. de France. Dzieje rękopisu omawianej pracy były pechowe; choć okupacja we Francji była dużo łagodniejsza niż w Polsce, wychodziły tam czasopisma naukowe, rękopis przeleżał całą wojnę - poza redakcją - i został wydrukowany w Bull. de la Soc. Math. de France dopiero w r. 1946. Jednakże wcześniej, w 1941 r., praca ta została wydrukowana w Moskwie, po rosyjsku, i to w poszerzonej nieco formie.

W 1937 r. Z. Zahorski zaczął pracować jako asystent dra inż. S. Neumarka, dra inż. W. Bilewicza i dra P. Szymańskiego w szkole Podchorążych Lotnictwa (grupa Techniczna) w Warszawie, przy mechanice teoretycznej, wytrzymałości materiałów i matematyce, z programem nieco niższym niż na politechnikach. Posadę tę zawdzięczał doktorowi Al. Wundheilerowi, wybitnemu twórcy w geometrii różniczkowej, którego dr Neumark chciał zatrudnić jako asystenta. Wundheiler prowadził na Uniwersytecie Warszawskim ćwiczenia z mechaniki u prof. Przeborskiego, nie miał jednak wtedy szans na zatrudnienie w szkole wojskowej z powodów "personalnych" - które wprawdzie dotyczyły i dra Neumarka, ale on pracował już od dawna w Instytucie Lotnictwa i w wojsku oraz Instytucie Aerodynamicznym Politechniki. Jednakże Neumark jak i Bonder, choć "syjoniści", byli nie do zastąpienia jako inżynierowie a zarazem i matematycy. Wobec tego Wundheiler polecił Neumarkowi Z. Zahorskiego, jako swego najlepszego studenta, znanego mu z ćwiczeń z mechaniki teoretycznej. Z. Zahorski pracował w tej szkole aż do czasu jej ewakuacji w nieznanym kierunku we wrześniu 1939 r.

Jednocześnie w marcu 1939 r. skończyły się wszystkie odroczenia i Z. Zahorski dostał wezwanie do stawienia się 2 października 1939 r. w Szkole Podchorążych Piechoty w Zambrowie, w celu odbycia służby wojskowej.

Dnia 7 września 1939 r., gdy Niemcy zbliżali się do Warszawy a pułk. Umiałowski przez radio wezwał mężczyzn mających kategorię wojskową A do wyjścia z Warszawy na wschód, gdzie będą wzięci do wojska, Z. Zahorski wyszedł na wschód z Esterą Steinbok, absolwentką matematyki. W Siedlcach dowódca miejscowej jednostki wojskowej, po okazaniu wezwania do Podchorążówki, odmówił przyjęcia Z. Zahorskiego do wojska jako nie przeszkolonego; wówczas uchodźcy udali się do Brześcia, gdzie po silnym nalocie i zbliżeniu się Niemców do Wysokiego Mazowieckiego zrozumieli, że Polska wojnę na

razie przegrała. Postanowili więc uciec jak najbliższej granicy radzieckiej, aby, gdy podejda Niemcy i odejda jednostki graniczne WOP, przejść przez granicę i schronić się przed Niemcami w ZSRR.

Dnia 14 września byli w Łunińcu, 60 km od granicy, ale jej przekraczanie nie było potrzebne, gdyż 18 września armia radziecka weszła do Łunińca. Z. Zahorski wkrótce udał się do Lwowa, gdzie czynne były wyższe uczelnie, Estera Steinbok chwilowo została w Łunińcu.

We Lwowie Z. Zahorski został asystentem Banacha, na Uniwersytecie Lwowskim, a od marca 1941 r. aspirantem (wraz z nieco młodszym od siebie mgr A. Alexiewiczem, obecnie profesorem Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu). Z aspiranturą wiązało się też stypendium doktoranckie. Banach zgodził się przyjąć jako doktorską tę pracę, którą przyjął za doktorską Mazurkiewicz, ale wtedy jeszcze nie była roztrzygnięta przez ministerstwo w Kijowie kwestia, czy Uniwersytet Lwowski będzie miał prawo nadawania stopni doktorskich (w tamtejszej terminologii kandydackich). We Lwowie pracowało na Uniwersytecie w owym czasie wielu uchodźców, wymienimy tutaj Saksa, Knastera, Marczewskiego^{x)}, Wojdysławskiego oraz Z. Zahorskiego, prof. Orlicza z Poznania, Boy-Zeleńskiego.

W listopadzie 1940 r. Z. Zahorski ożenił się z Esterą Steinbok. W tym okresie Z. Zahorski wciąga się w wir pracy naukowej; jest bardzo zajęty; redaguje swoje prace już zrobione i przystępuje do pisania nowych, aby okazały w przypadku śmierci na wojnie. Zredagowane prace wysyłał do Moskwy, Japonii, czasopism lwowskich - te ostatnie prace później zagięły, ale po ponownym ich napisaniu - po wojnie - zostały wydrukowane w Indiach i USA. Nowe problemy pochodziły częściowo od Banacha i Mazura (jednak nie odnosiły się one do analizy funkcjonalnej), częściowo z własnej inicjatywy. Obawy Zahorskiego, że pożoga wojenna w taki czy inny sposób dotrze do Lwowa, okazały się słuszne, 30 czerwca 1941 r. Niemcy wkroczyli do Lwowa. Dalejsza ucieczka na wschód była technicznie niemożliwa od pierwszego dnia wojny, tj. od 22.VI. powstał też dodatkowy kłopot: należało zmienić mieszkanie, gdyż w książce meldunkowej żona Z. Zahorskiego figurowała jako Żydówka, a narazie korzystała z bardzo kruchego fałszywego dokumentu. Uczelnie oczywiście zamknięto (nawet dla Ukraińców), zresztą Z. Zahorski nie tylko nie pracowałby na hitlerowskiej uczelni, ale nawet nie mógłby się przyznać do wyższego wykształcenia, wiedząc, że daje to pierwszeństwo w wywozie do obozu koncentracyjnego. Warunki odżywiania znacznie się pogorszyły, a dorywcze zarobki, głównie handlowe, były bardzo małe. Pogorszyło się więc po raz pierwszy zdrowie (gruźlica), a syn urodzony 25 sierpnia 1941 r. zmarł 27 września tegoż roku z braku należytego odżywiania. W marcu 1942 r. Z. Zahorski wrócił do Warszawy, a w maju 1942 r. dr Stawiński skierował go do znajomego dyrektora technicznego fabryki Philipsa, z zatajeniem wyższego wykształcenia. Fabryka była skonfiskowana przez Niemców i dawała tzw. ausweis, chroniący częściowo przed wywózką do Niemiec. Dawała też zupełnie fabryczną rano i na obiad, dość podłą, ale czasem z jakimiś ochłapami

^{x)} Edward Szpilrajn, ukrywał się z początku pod nazwiskiem Zawadzkiego, później Marczewskiego.

nięsa jakości gorszej, niż "nur fur Deutsche". Praca tam dawała też możliwość słuchania bez żadnego ryzyka zabronionych pod karą śmierci (m.in. według afiszów wiszących w halach fabryki) audycji z Londynu, Moskwy a czasem przypadkowo i z krótkofalówek partyzanckich. Przy ówczesnych środkach technicznych nie było możliwe stwierdzić, czego się słucha na słuchawki, a skalujący aparat według falomierza służbowo musiał mieć słuchawki na uszach. Należało tylko, gdy jakiś Niemiec wchodził na salę, spokojnie zejść z podejrzonej fali, odłączyć zwykły drut o charakterze wewnętrznej anteny, a podłączyć leżący o 5 cm obok przewód falomierza. Z Zahorski wyrobił zonie Esterze bardzo mocną aryjską ksenkarkę na prawdziwej metryce swej siostry, Haleny Barbary Zahorskiej, która wtedy mieszkała na terenie tzw. Rzeszy. Siostra po wojnie uznała to za bardzo ryzykowne, mogące ściągnąć wówczas śmierć na nią, jak i na całą jej rodzinę, u której mieszkała. Jednakowoż wobec trudności podróży Polaków z Rzeszy do Gen.Gubernii znalezienie 2 bliźniaczek Zahorskich o identycznych obu imionach było mało prawdopodobne. Z Zahorski - w tym okresie - pomagał też innym Żydom, czasem nieznanym dzieciom, ale to ostatnie nie było ryzykowne. Nie udało się natomiast wykupić od granatowej policji żony wybitnego matematyka lwowskiego, J. Schaudera, zastrzelonego na ulicy we Lwowie^{*}. P.Schauderowa przyjechała wtedy ukrywać się w Warszawie, ale jak i jej mąż, nie mogła wytrzymać stałego pobytu w mieszkaniu. Na ulicy rozpoznały ją dzieci i krzyczały "Żydówka" nie wiedząc zapewne co robią, a wtedy zatrzymał je granatowy policjant. Druga Żydówka ukrywana przez tę samą gospodynię, a znająca Esterę, zaalarmowała Zahorskich; gospodyni ta miała dojdzie do jakiegoś z policjantów, a Zahorski był jednym z ogniw pośrednich między tą gospodynią a p.Tarską, zbierającą pieniądze na wykup. Bezpośredniego kontaktu ze sferami policyjnymi, nawet polskimi, wolał unikać. Policjanci jednak dwukrotnie po zebraniu żądanej kwoty podbijali cenę, za trzecim razem p.Schauderowej już nie było: gestapowcy zabrali wszystkich zatrzymanych Żydów z okazji kolejnej wizytacji komisariatu, a do gestapowców p. Tarska ani owa gospodyni dojścia już nie miały.

Ponieważ w fabrykach niemieckich należało pracować ślamazarnie, Z. Zahorski w znacznej części godzin pracy fabrycznej pisał dalsze prace; chociaż prace te później zginęły w gruzach z powstania, niemniej jednak ich streszczenie (w kilku egzemplarzach, dane różnym ludziom, a jedno trzymane stale przy sobie) ocalało, co pozwoliło je po wojnie odtworzyć. W roku 1942 i 1943 przebywał po 2-3 mieś. w sanatorium - w Rudce pod Mińskiem Mazowieckim, postawionym na dobrym poziomie jak na czasy okupacji. W sanatorium tym zostało ufundowanych 12 miejsc dla pacjentów z fabryki przez jej polski personel (składkowo). Z. Zahorski miał znajomych partyzantów zarówno z AK (kolegę ze swej klasy maturalnej), jak i z AL (Michała Tetmajera, nie znanego osobiście przed wojnę, spotkanego tylko raz na zebraniu towarzyskim) i zamierzał się do nich przyłączyć. Jednak na dłuższy pobyt w warunkach partyzanckich zdrowie już Mu nie pozwalało: nastąpiło dal-

^{*} Czy Drohobyczu dokładnie nie wiem. [Zadenucjonował go podobno student Ukraińiec.

sze pogorszenie zdrowia, którego stan był alarmujący pod koniec 1943 r. w styczniu 1944 r. Z. Zahorski znalazł się w szpitalu, a po operacji, w lutym, stan Jego się pogorszył, a w maju był całkowicie beznadziejny. Z. Zahorski jako "pesymista dla asekuracji" liczył wtedy najwyżej na miesiąc życia. Okazało się, że nieobiektywnie i że za mało pesymistycznie; lekarze bowiem liczyli wtedy, że pożyje tylko kilka dni. Ale omylili się, nastąpiła powolna poprawa, tak iż w czerwcu mógł już chodzić bez prowadzenia. Niewątpliwie pomogło Mu dożywianie, przesyłane przez kuzynkę Jankę Wł. z Siedlec, ale głównie - jakaś niespodziewana odporność, bo inni pacjenci "poczekalni do trupiarni", zwłaszcza ci, którzy dostawali ze wsi od rodzin znacznie lepsze dożywianie, pomarli wszyscy: On pozostał przy życiu, przez czas okupacji salę tę opuściło dwóch żywych; jednym był Z. Zahorski, a drugim (wcześniej) był jakiś marynarz. Przejściowe pogorszenie stanu zdrowia nastąpiło później, w czasie powstania warszawskiego. Jednak w tym szpitalu (przy ul. Nowogrodzkiej, Szpital Dzieciątka Jezus) prawie od początku zajęty przez Niemców, warunki były znacznie lepsze niż w innych dzielnicach. Niemcy nie mordowali chorych, ani nawet personelu jak w Szpitalu Wolskim, czy na Lesznie, gdzie chodzących chorych rozstrzelano na miejscu, a niechodzących spalono w budynku; wśród tych ostatnich był też prof. Bursuka.

Trzy tygodnie po powstaniu Rada Główna Opiekuńcza szpital ten oraz chorych, rannych z powstania i starców z innych szpitali i przytułków ewakuowała do prowizorycznego szpitala w Domu Medyków na ul. Grzegorzeckiej w Krakowie. Z tego nowego miejsca wypisać się wolno było tylko po wyrażeniu zgody przez gestapo; jednak w szpitalu warty nie postawili, Z. Zahorski skorzystał z tej "swobody", odeszukał matematyków krakowskich i, na tajnym zebraniu oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego zreferował in swoje prace, napisane w czasie wojny. Wkrótce został powiadomiony, że tajna Polska Akad. Umiejętności zorganizuje mu pomoc żywnościową; mięsa dostarczył prof. S. Turski, były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, wtedy pracownik rzeźni, po wojnie organizator i pierwszy rektor Politechniki Gdańskiej, później - Uniwersytetu Warszawskiego, przez pewien czas Dyrektor Departamentu w Ministerstwie. W styczniu 1945 r. Niemcy zamierzali pacjentów Szpitala z Grzegorzeckiej wywieźć do obozu Oświęcim-Brzezinka, ale nie zdążyli tego uczynić. Pacjentów tego szpitala, a i wielu innych ludzi uratowała błyskawiczna ofensywa radziecka, zaczęta 12 stycznia od Sandomierza. Po tej dacie zdążyli rozstrzelać tylko tych ludzi, którzy znajdowali się w więzieniu, po czym szybko uciekali przed okrążeniem. Już 18-19 stycznia Kraków był zdobyty prawie bez walk, po dalekim okrążeniu.

Poprawiły się warunki odżywiania i szybko poprawiło się zdrowie. W lutym 1945 r. Z. Zahorski stanął przed komisją poborową. Kapitan lekarz sprawdził czy bandaż na żebrach nie jest fikcyjny, po czym bez rozmowy wypisał zwolnienie. Od chwili otwarcia Uniwersytetu Jagiellońskiego, Z. Za-

Q. F. F. F. Q. S.

SUMMIS AUSPICIIS

SERENISSIMAE REIPUBLICAE POLONORUM

NOS

LADISLAUS SZAFER

PHILOSOPHIAE DR. BOTANICAE PROFESSOR P. O.
UNIVERSITATIS IAGELLONICAE RECTOR MAGNIFICUS

FRANCISCUS LEJA

PHILOSOPHIAE DR. MATHEMATICAE PROFESSOR P. O.
ORDINIS PHILOSOPHIAE NATURALIS DECANUS

ET

THADDAEUS WAŻEWSKI

PHILOSOPHIAE DR. MATHEMATICAE PROFESSOR P. O.
PROMOTOR RITE CONSTITUTUS

VIRUM CLARISSIMUM

SIGISMUNDUM ZAHORSKI

ORLUNDUM SZUBINA

POSTUAM DEDICATIONE *o* ZBIORZE PUNKTÓW OSOBLIWYCH FUNKCJI MAJĄCYCH POCHODNIE WSZYSTKICH RZĘDÓW

CONSRIPTA ET EXAMINIBUS LEGITIMIS LAUDABILIBUS IN PHILOSOPHIA DOCTRINAM PROBAVIT

DOCTORIS PHILOSOPHIAE

NOMINI ET HONORIBUS SUI ET PRIVILEGIIS CONTULIMUS IN EIUSQUE REI FIDEM HASSE LITTERAS UNIVERSITATIS SIGILLO
SANCIONDAS CURAVIMUS

DATUM CRACOVIAE DIE XI MENSIS FEBRUARII ANNO MCMXCVI

*Ladislaus Szafer**Franciscus Leja**Thaddaeus Ważewski*~~UNIVERSITATIS IAGELLONICAE~~*1936*

horski pracował na nim jako asystent. W czerwcu 1945 r. dostał małe mieszkanie przy ul. Podwale. Dnia 11 lutego 1946 r. zakończył przewód doktorski, z innej pracy niż przedwojenna, a ta ostatnia, znacznie uzupełniona, była podstawą habilitacji, planowanej i przygotowanej na 15 października 1947 r.; brak jednak czasu u jednego z recenzentów, prof. Mazura, spowodował opóźnienie i przesunięcie kolokwium habilitacyjnego na grudzień 1947 r. Jednocześnie Uniw. Jagielloński wystąpił z wnioskiem o powołanie na profesora nadzw. i zatrudnił Go jako zastępcę profesora.

W październiku 1948 r. Z. Zahorski dostał nominację na profesora nadzwyczajnego i przeniesienie na Uniwersytet Łódzki. Dnia 1.III.49 r. Helena (Ester) Zahorska urodziła córkę Elżbietę. (Zachowała też pierwsze imię z okupacyjnej kennkarty). W r. 1949 Z. Zahorski dostał nagrodę Polskiego Towarzystwa Matematycznego jako 12 z matematyków polskich. Te nagrody, wtedy od r. 1946 po trzy rocznie na całą Polskę, były najwyższej cenione, nie co do kwoty, lecz co do znaczenia. Tylko dwóch matematyków dostało ją dwa razy: H. Steinhaus (za życia) i M. Biernacki (drugą pośmiertnie, ale wniosek mógł być wystawiony tylko za życia) Nagrody Ministra Z. Zahorski dostał 3 razy, w 1948 r. (nagroda młodych, tj. do 40 lat) i w 1962 r. nagroda II stopnia za pracę naukową i w roku 1984 za całokształt działalności, w tym w szczególności za badania naukowe i rozwój młodej kadry. Pomijamy tutaj kilka nagród rektorskich w Łodzi (i jedną w Gliwicach) za pracę naukową lub dydaktyczną. W roku 1954 Rady Wydziału Mat.-Fiz.Chem. wystąpiła jednogłośnie o awansowanie Z. Zahorskiego na profesora zwyczajnego, co udaremnił, nie składając niezbędnej ankiety, gdyż uważał, że jeszcze mu się ten awans nie należy. Zgodził się na awans dopiero w 1960 r. po rozwiązaniu problemu Kołmogorowa (dowód pewnej hipotezy z r. 1926, którą Kołmogorow opublikował w r. 1927 bez dowodu i bez żadnych szczegółów). Był to istotnie wynik na skalę światową, od r. 1927 na całym świecie wielu wybitnych specjalistów z teorii szeregów trygonometrycznych próbowało bezskutecznie rozwiązać ten problem, udało się to Z. Zahorskiemu w maju 1960 r., po trzech tygodniach pracy. Pewne ułatwienie w uzyskaniu tego wyniku stanowiła Jego bezskuteczna praca od r. 1940, a nawet trochę wcześniej, bo od 1936 r. zaś intensywnie od 1942 r. nad inną hipotezę Łuzina. Niamal wyłącznie, a napewno głównym celem Jego życia były badania nad hipotezą Łuzina, postawioną w r. 1912; hipoteza ta jest uogólnieniem problemu du Bois Reymonda z r. 1876, a podobno nawet Riemanna, a więc z przed r. 1866. Nad nią Z. Zahorski pracował do reanimacji na jesieni 1980 r. Hipoteza Łuzina też z teorii szeregów trygonometrycznych, ale jeszcze trudniejsza i starsza, miała pewne aspekty, które powodowały, że pomysły dla niej nieskuteczne, okazały się skuteczne w hipotezie Kołmogorowa. W r. 1961 Z. Zahorski pospiesznie, przed zredagowaniem czystopisu, anonsował w C.R. Akademii Paryskiej rozwiązanie hipotezy Łuzina, a w trzy tygodnie później, redagując czystopis i referaty na seminarium prof. Mazura w Instytucie

Matematycznym PAN, zauważył błąd. Ponieważ anons był już wydrukowany, sprostował natychmiast błąd - w liście do prof. A. Zygmunta, recenzenta tej noty (z C.R.) w światowym czasopiśmie bibliograficznym *Mathematical Reviews*, ale naprawić tego błędu nie potrafił do r. 1980 ani później.

Błąd ten psychologicznie stanowił mocne uderzenie w wiarę we własne siły i stanął odtąd główne nieszczęście, przesłaniające czy raczej wchłaniające nawet nieszczęścia wojenne. Obiektywnie nie jest to tak źle, sam Lebesgue ogłosił w 1905 r. pracę z fałszywym wynikiem, a największy chyba matematyk XX wieku, D. Hilbert w r. 1925 "udowodnił" hipotezę continuum, błąd zauważyli zaraz Kuratowski i von Neumann. Natomiast hipoteza Łuzina okazała się prawdziwą, co udowodnił poprawnie w 1966 r. szwedzki matematyk Lennart Carleson (młodszy od Zahorskiego), później przez parę lat prezydent Światowej Unii Matematycznej. Błąd Zahorskiego tkwił więc tylko w dowodzie, jednak prawdziwość tej hipotezy nie jest zasługą Zahorskiego. Bo, nie wchodząc w szczegóły, problem miał dwie możliwe odpowiedzi przed rozwiązaniem - tak lub nie.

W r. 1961 Z. Zahorski został wytypowany przez dzielnicowy Front Jedności Narodu na radnego do Dzielnicowej Rady Narodowej (DRN), Łódź-Górna. Propozycję tę przyjął mając nadzieję, że będzie mógł coś pomóc ludziom, bo mimo małej ilości czasu wolnego (czas pochłaniała praca naukowa), ówczesny stan zdrowia i energii pozwalały na dodatkową działalność. Będąc przeciwnikiem pracy czysto frazeologicznej, uważając, że najlepszym przykładem jest konkretna praca (w tym i naukowa), uważał pracę radnego za coś konkretnego. Okazało się to słuszne, ale w małym stopniu.

W DRN Łódź-Górna Z. Zahorski był radnym i członkiem Komisji Oświaty w latach 1961-1970, a członkiem Prezydium DRN od 1965 do 1970, tj. do czasu przeprowadzki do Gliwic, razem przez dwie kadencje. W latach 1951-1953 i 1959-1961 był prezesem Oddziału Łódzkiego Pol. Tow. Matematycznego, w 1975-1977 członkiem Zarządu Głównego PTM, a niemal stale delegatem na Walne Zgromadzenie PTM.

W Łodzi na Uniwersytecie Z. Zahorski został odznaczony Medalem X-lecia PRL i Złotym Krzyżem Zasługi, w latach 1953-1954, a w r. 1968 22 lipca (po sprostowaniu błędu w nazwisku 17 kwietnia 1969) Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W przeniesieniu do Gliwic pomogli Z. Zahorskiemu niezujący już ludzie; prof. M. Mochnacki i doc. dr hab. W. Sobieszek, były jego student z Un. Łódzkiego, pracujący w Gliwicach. Mimo wyleczenia, całkowicie dopiero w r. 1964, skutków wojny, zdrowiu zagroziła - i to mocniej, choroba serca. Od r. 1955 lekka, głównie nerwicowa, później i organiczna, od 1972 poważna, od 1976 ciężka, a 24 października 1980 z reanimacją. W latach 1977-1978 czyni starania o przeniesienie się do Białegostoku, ze względów zdrowotnych i klimatycznych. Starania te nie kończą się sukcesem. Pozostaje nadal w Gliwicach.

W r. 1966 córka Z. Zahorskiego Elżbieta skończyła III Liceum w Łodzi i obrała kierunek studiów, którego w Łodzi nie było a w następnym roku zdała za namową ojca na fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, choć wolałaby matematykę. Z. Zahorski uważał fizykę za ważniejszą i ciekawszą od matematyki, nie tylko ze względów na zastosowania techniczne, choć sam jest matematykiem. Fizyka dawałaby też większy wybór zatrudnienia po studiach. Próba studiowania jednocześnie fizyki i matematyki była zbyt czasochłonna, wreszcie córka po 2 latach fizyki, mimo na ogół dobrych wyników, przeniosła się na matematykę, stwierdzając, że nie ma zdolności doświadczalnych i w r. 1979 skończyła studia.

W r. 1970 Z. Zahorski rozwiódł się, po czym ożenił się z Janiną Ślaskowską, docentem Politechniki Śląskiej, pracującą twórczo w mało mu znanej dziedzinie funkcji analitycznych. Również ze względów rodzinnych i mieszkaniowych przeniósł się do Gliwic do pracy w Politechnice Śląskiej - mimo większego na Śląsku zadymienia i zapylenia atmosfery, szkodliwego klimatu. Janina Ślaskowska-Zahorska urodziła syna teraz bliskiego ukończenia szkoły podstawowej. Syn Jaś gruntownie nie lubi matematyki, być może obrzydziła mu ją szkoła, a zmuszać go nikt nie chce, nigdy przymus nie spowodował zainteresowania. Ma wprawdzie dobre oceny z matematyki, ale interesuje się chemią i elektroniką.

Córka często odwiedzała ojca w Gliwicach, a po skończeniu studiów przez 8 miesięcy mieszkała u Zahorskich w Gliwicach. Następnie została zatrudniona na WSI w Radomiu. Z. Zahorski miał również propozycję przeniesienia się do Radomia ze względów klimatycznych, ale nie chciał podjąć pospiesznej decyzji, a po zorientowaniu się w tamtejszych warunkach, w 1981 r. zrezygnował z tej przeprowadzki. W czerwcu 1982 r. w czasie przymusowej, miesięcznej, nieobecności Janiny Ślaskowskiej-Zahorskiej w Gliwicach (a Z. Zahorski był wtedy w sanatorium kardiologicznym w Nałęczowie) córka zaopiekowała się Jasiem, wywoząc go do znajomej gospodyni pod Ciechowinkiem.

Z. Zahorski ma 43 publikacje, w tym 41 w czasopismach naukowych w Polsce, Francji, Japonii, Indiach, USA, ZSRR i Czechosłowacji, jeden skrypt dla początkowych lat studiów i jeden artykuł popularny dla czytelników z wykształceniem od niepełnego podstawowego wzwyż. Artykuł popularny wypadł nie najlepiej, bo autor nie miał możliwości zrobienia korekty przed publikacją, korektę zrobiła redakcja "Przekroju", zmieniając miejscami na ...gorzej. Odliczając z publikacji naukowych bibliografię (nr 13), recenzje, problemy postawione, ale nie rozwiązane przez autora i dublety (np. anons, streszczenie, a później pełny tekst) i przekłady, prac naukowych jest w tym 17, z nich jedna błędna, jedna istotnie dobrej wartości, osiem średniej jakości, pozostałe przyczynkowe - wg oceny Autora Biografii.

Doktorantów Z. Zahorski ma 8 w Łodzi i dwóch w Gliwicach. Wybitnymi jego uczniami są prof. zw. dr hab. Jan Lipiński, przez pewien czas dyrektor Inst. Matem. Uniw. Gdańskiego i prof. dr hab. T. Świętkowski, który wprawdzie doktoryzował się w innej katedrze, ale najlepsze prace ma w proble-

matyce Zahorskiego. Szkoła stworzona przez ludzi uprawiających tę problematykę wykracza poza granice Polski; pracują w niej m.in.: matematycy czescy, amerykańscy, rumuńscy, radzieccy i inni, z polskich można wymienić docentów Filipczaka i Wilczyńskiego oraz kilku uczniów prof. Lipińskiego czy prof. Świątkowskiego.

Z. Zahorski brał udział w kilku międzynarodowych kongresach matematycznych, skupiających 4 do 6 tys. matematyków różnych specjalności, organizowanych co 4 lata w różnych krajach przez matematyków kraju organizującego (wybieranego na poprzednim kongresie) i Międzynarodową Unię Matematyczną. W Sztokholmie w roku 1962 i w Moskwie w r.1966 na koszt własny, w Moskwie organizatorzy obrali go przewodniczącym na referatach sekcji funkcji rzeczywistych. Na Kongres w Nicei w r.1970 był wytypowany z Un. Łódzkiego przez Ministerstwo, lecz z uwagi na "ciężkie" finansowe nie mógł w nim wziąć udziału. W kongresach 1978 r. w Helsinkach i 1983 r. w Warszawie był na koszt Politechniki. W mniejszych konferencjach zagranicznych brał udział z wygłoszeniem referatów w Pradze w r.1949, w Berlinie w 1960, w Palermo na Sycylii w 1976 i w Warnie (nie referat, tylko problem w czasie dyskusji) w 1967.

Podsumowanie i zakończenie tej biografii.

Oczywiście przypadek zafascynowania matematyką przez Z. Zahorskiego nie jest typu ambicjonalnego, bo to mogło odgrywać rolę najwyżej w początkach nauki szkolnej, kiedy zależy na ocenie - a i nawet wtedy nie wyłącznie. Ale rodzi się pytanie: czy ta fascynacja ma stanowić końskie okulary, z którymi można dobrze i nawet przyjemnie - mimo przeszkód - przeżyć życie bez ogólniejszej refleksji? Na pytanie w jakim stosunku jest matematyka do ogólnych celów ludzkości, Z. Zahorski odpowiada w skrócie: z ludzkiego punktu widzenia najważniejszymi i najbardziej zadziwiającymi tworamii przyrody są organizmy żywe, zwłaszcza "mające duszę", tj. widzące, słyszące, czujące ból i przyjemność, decydujące o swych ruchach, czyli zwierzęta. A z nich zwierzęta myślące, czyli ludzie. Rozwój myśli ludzkiej, nawet jeśli genetycznie jest ona jednym ze środków zdobywania warunków do życia, od chwili jej usamodzielnienia jest już ważny nie tylko w kierunkach utylitarnych, ale i bezinteresownie poznawczych. Matematyka ma w tym drugorzędną rolę, bo poznaje najbardziej zewnętrzną, formalną i banalną stronę rzeczywistości, ilościową. Fizyka z chemią, czyli właściwie też fizyką ultramikroskopową i biologią, zwłaszcza ta z mikroskopów elektronowych, są znacznie ważniejsze, choć według chyba słusznej tezy Kanta i one nie poznają "istoty rzeczy w sobie". Zarówno materialisci jak i większość filozofów wierzących uważają, że matematyka i każda nauka, nawet logika, powstała wskutek obserwacji świata i w jakimś stopniu go poznaje. Ale gdyby nawet uznać, że matematyka jest absolutną abstrakcją "czystym tworem wolnego ducha ludzkiego", to i wtedy byłaby jakoś związana z rzeczywistością, bo umysł ludzki jest częścią rzeczywistości. Lecz matematyka to jałowa część rzeczywistości, choć wcale nie "zimna" czy "sucha", jak mówię

ludzi ślepi na urok matematyki. Wobec tego Z. Zahorski ceni matematykę głównie od strony artystycznej, jako sztukę dla sztuki. Jest to hasło mylne sformułowane, bo każda sztuka jest dla ludzi. Muzyka poważna (chyba bez treści umoralniającej czy społecznej) jest dla małej ilości ludzi, ale są tacy. Odbiorców sztuki matematycznej jest chyba więcej, a ilość ich będzie rosła w miarę wzrostu oświaty. Żądanie, aby sztuka była zrozumiała dla mas, jest w przypadku matematyki nonsensem, trzeba aby wtedy zatrzymać matematykę na poziomie V klasy podstawówki.

Sztuka nie powinna zniżać się do poziomu mas, lecz podnosić masy do swego poziomu. Dla jakich mas ma być zrozumiała, ciemnych? Ciemne masy to nazwa z przeszłości, w przyszłości ludzi ciemnych nie będzie. "Chodzi o to, aby podnieść ludzi na wyżyny filozofii" - zdanie chyba Marksa. Z. Zahorski uważa, że nauki podstawowe dla samego poznania świata, jeden z głównych celów ludzkości (wbrew zdaniu St. Staszica, uważającego naukę za luksus), nie są celem wyłącznym. Równie ważne są zastosowania, ale nie do produkcji igieł czy samochodów, choć i to potrzebne. Są to badania:

- 1) w medycynie, przedłużenie przeciętnego wieku ludzi choćby tylko do 150 lat z najwyżej 5 latami starości, a w przyszłości może nieograniczenie;
- 2) zwiększenie produkcji środków żywności dla już przeludnionego świata;
- 3) wynalezienie silników bezspalinowych, odtrucie wody, gleby i atmosfery, nowe źródła energii, bo i uranu na świecie mało;
- 4) stworzenie na innych planetach warunków atmosferycznych i termicznych do kolonizacji miliardami ludzi, którzy zamieszkają tam stale, poza tym, co łatwiejsze, wynalezienie skutecznych, nieszkodliwych wygodnych i tanich w masowej produkcji środków antykoncepcyjnych. Inaczej nieuchronnie stoczmy się do automatycznej regulacji przeludnienia poprzez: głód, zatrucie spalinami i ściekami lub wojnę nuklearną. Czyli dalsze istnienie ludzkości zależy od nauki stosowanej. Co do zastosowań przeciw ludziom, to nie jest winą uczonych, że ich odkrycia zostały wykorzystane do zbrodniczych celów. Mimo, że bomba atomowa miała na celu rzecz tak słuszną, jak walka z ludobójcami hitlerowskimi. W tej sprawie Z. Zahorski może na szczęście oburzyć podpisać się pod słowami wielkiego matematyka angielskiego, G.H. Hardy'ego: "Cieszę się, że żadne z moich odkryć nie przydaje się do produkcji maszyn do zabijania ludzi i ujerzmiiania narodów". Bo w ogóle Z. Zahorski nie ma prac z matematyki stosowanej, choćby do celów pokojowych. Pośrednio może znajduję zastosowanie w pracy inżynierów wiadomości z Jego elementarnych wykładów z analizy, natomiast wykłady monograficzne nie były stosowane. Z. Zahorski nie jest specjalistą żadnego z działów zastosowań matematyki; uważa, że takich specjalistów w ogóle poza Wrocławiem i Warszawą jest w Polsce mało. Pracę dydaktyczną traktuje drugorzędnie, głównie jako zarobkową; wprawdzie są instytuty pracy czysto naukowej, jednak mogą one ulec redukcji, np. ze względów oszczędnościowych: a co ważniej-

sze, choć Instytuty takie nie narzucają tematów, jednak wymagają osiągnięć. Jednak Z. Zahorski podziela zdanie prof. A. Alexiewiczza, "gdyby nawet wolno było wcale nie wykładać, to bym wziął choć 2 godziny tygodniowo wykładu dla kontaktu z ludźmi i młodzieżą w szczególności". Z. Zahorski podziela zdanie większości fachowców, że bez pracy naukowej nie można dobrze wykładać matematyki wyższej. Nie pomoże tu ani tzw. wrodzony talent dydaktyczny - choć się zdarza - ani wieloletnia rutyna, ani stopnie naukowe z dydaktyki ogólnej. Nie naukowiec łatwo popada w błędy, nawet starannie przygotowując wykłady i wtedy jego talent dydaktyczny czy wiedza z dydaktycznej habilitacji działają na szkodę, gdyż tym skuteczniej i bardziej przekonująco psychologicznie nauczą błędów. W rezultacie drugorzędnie traktowany (ale jednak solidnie) wykład naukowca jest dużo lepszy od rutynowanego wykładu różnego rodzaju wykładowców, powtarzających utarte myśli. Z. Zahorski do większości wykładów nie przygotowywał się - i to właśnie dobrze. Wykład bez pamiętania szczegółów, ale przy znajomości metody - improwizowany - pokazuje, jak się robi matematykę, a nie tylko opowiada, co w niej jest. Naukowiec z własnego doświadczenia rozumie metodę i myśl przewodnią, pokazuje, jak do niej dorobić szczegóły. Tego nigdy nie robi rutyniarz. Do trudniejszych wykładów jednak przygotować się trzeba; zawierają one bowiem też sporo materiału pamięciowego, a tego nie można szybko zrekonstruować na wykładzie: można bowiem zastanawiać się przed tablicą 5 sekund, natomiast nie powiadzieć przez pół godziny byłoby stratą czasu, zwłaszcza przy błędnej opinii początkujących studentów (za co winę ponosi szkoła), że nauczyciel rzekomo wie wszystko. Praca na uczelniach zawiera też część administracyjną, której Z. Zahorski zawsze nie znosił: dziwne kwestionariusze z często niezrozumiałymi pytaniami o rzeczy, których nie ma, wypełnione siłą rzeczy "z sufitu"; planowania i sprawozdania, między nimi krótki czas na produkcję naukową: kłopotliwe i czasochłonne stanowiska kierownicze, których unikał. Zdaniem Z. Zahorskiego naukowiec nie powinien mieć nawet śladu żądzy władzy, jednej z najgorszych i najszkodliwszych cech ludzkich. Niektórzy uważają, że ma ją każdy: "kto nie rządzi w domu, ten rządzi w miejscu pracy, a kto nie rządzi w miejscu pracy jest tyranem domowym". Jest to nieprawda, bo despota jest niezdolny i w domu i w pracy, a naukowiec despota być nie potrzebuje: nie musi on bowiem rządzić ani w domu, ani w pracy; wystarcza mu aż nadto władza nad problemami, które rozwiązuje, a ten typ władzy jest dla ludzi nieszkodliwy, i nad umysłami przyszłych czytelników jego prac.

Zdaniem Z. Zahorskiego matematyka powinna mieć i na pewnym poziomie rzeczywistość ma, implikacje etyczne. Człowiek umiejący myśleć powinien też umieć wybrać dobro. Niezależnie od nazw, rzekomo je dyskwalifikujących - czy nazwać to współczuciem, czy instynktem stadnym; jaśnie, że słuszną jest, nie głoszona przez Nietzschego etyka silnych - w gruncie rzeczy pochwała ludobójstwa, lecz właśnie etyka słabych. Wolnomyślicielski humanitaryzm, chrześcijańska miłość bliźniego, czy też humanitaryzm socjalistyczny, a nie nienawieć.

Wreszcie Z. Zahorski całkowicie potwierdza - przeczytane w jakiejś pracy prof. A. Wakulicza - słowa wielkiego algebraisty niemieckiego, Kroneckera: - matematyka uczy skromności. O tym wie każdy twórczy matematyk, który zmagając się godzinami i latami z kolosalnie trudnymi problemami, przerażającymi często mniej czy bardziej utalentowany umysł. Wobec trudności jesteś niczym. Tego można się dowiedzieć walcząc tam, "Gdzie twardym murem trudny problem stał".

Osiągnięcia naukowe Z. Zahorskiego zostały uzyskane przy pokonywaniu wielu przeciwności losu: zarówno bezosobowych, jak nędza, choroby, wojna, jak i spowodowanych przez konkretnych ludzi. Przeciwności te - dodatkowe, poza trudnością samych problemów - ujawnia on chętnie nie dla zyskania współczucia, którego nie chce i nie potrzebuje, lecz ze słusznej dumy: trzy metry w skoku o tyczce to daleko do rekordu przekraczającego 5,5 metra, ale trzy metry z plecakiem zawierającym 25 kg cegieł, to superrekord. Choć w ogóle Z. Zahorski traktuje te sprawy nie w kategoriach pychy czy skromności, stosując m.in. zasadę "lepiej się niedocenić niż przecenić", tzw. pesymizm asekuracyjny (nie asekurancki).

Po reanimacji w r. 1980 Z. Zahorski odłożył na czas bliżej nieoznaczony szukanie poprawnego i prostszego dowodu twierdzenia Carlesona; zajął się natomiast dla rozrywki - dużo starszym problemem, w myśl zasady: próbować każdemu wolno. Stwierdza natomiast, że nadzieja rozwiązania tego problemu jest prawie żadna: w tym przypadku byłoby to grube przecenianie swoich możliwości, nawet przy uwzględnieniu maksymy: "mierz siły na zamiary". Zdolności maleją przecież z wiekiem, a biorąc pod uwagę stan zdrowia i ilość lat czy tygodni stojących do dyspozycji, szans nie ma wcale. To też nie ujawnia tego problemu, ujawni jeśli cudem, jak ślepej kurze ziarno, uda się Mu zagadnienie rozwiązać.

Z. Zahorski ze zdziwieniem dowiedział się o urzędzaniu mu jubileuszu 70-lecia, czyżby czas tak szybko płynął? A i nie tylko dlatego: jak widac nie wszyscy ludzie mu jednak przeszkadzali.

Z. Zahorski prosi opracowujących tę biografię, o wyrażenie w tym miejscu wdzięczności następującym ludziom, z których wielu nie ma już wśród żyjących: profesorom, Mazurkiewiczowi i Banachowi, dr Julianowi Stawinskiemu, prof. S. Kulczyckiemu, prof. S. Mazurowi, prof. T. Wazewskiemu, prof. S. Gołąbowi, prof. M. Mochnackiemu, doc. W. Sobieszkowi; profesorowi Akad. Med. w Łodzi i Warszawie, w 1944 r., ordynatorowi dwóch sal umarłych i dwóch łóżek chorych, J. Stopczykowi (na którego sali umarłych Z. Zahorski też pracował naukowo w te dni, kiedy rana operacyjna zbyt nie bolała lub nie przeszkadzała wysoka temperatura); kuzynce Jance, dostarczającej mu dożywianie na tę salę; lekarzom kardiologom z Gliwic, dr L. Rudnickiej, dr Z. Piotrowskiemu, dr L. Wydrzyńskiemu; prof. S. Turskiemu; wszystkim ludziom, ułatwiającym Mu wyjazdy do sanatoriów kardiologicznych, głównie paniom D. Nawratil i A. Gubrynowiczowej oraz Rektorowi prof. J. Nawrockiemu; reanimatorom, dr R. Kondrakowi i dr A. Wędrychowiczowi; wy-

konawcy elektrokardiowersji w r. 1976, Dyrektorowi Szpitala, dr M. Buczkowskiemu; Dziekanowi Wydz. Mat. Fiz. Politechniki Śląskiej, prof. Sz. Borkowskiemu; Dyrektorowi Instytutu Matematyki na tym Wydziale, doc. E. Płonco; kolegom z bursy ZNP w 1932-33 r. na ogół o pozapomnianych już nazwiskach i koleżankom z tej bursy, o nazwiskach niezapomnianych: mgr Cz. Chęcińskiej, mgr D. Poświatównie i dr inż. Zofii Makarewicz; - i wreszcie swojej żonie Janinie Ślaskowskiej-Zahorskiej, za szybkie wezwanie karetki reanimacyjnej i uratowanie od śmierci biologicznej, w październiku 1980 r.

OD REDAKCJI MATERIAŁÓW BIOGRAFICZNYCH

Ponieważ Z. Zahorski w dostarczonej biografii podał, "asekuracyjnie zaizolowaną" ocenę własnych prac, podajemy dwa cytaty z "Wiadomości Matematycznych" z r. 1965, tom VIII, z artykułu związanego z historią matematyki w Polsce, opracowanego zbiorowo na zlecenie Komisji PAN pt.: "Osiągnięcia naukowe XX-lecia w zakresie matematyki", s. 1-21.

Strona 11, wiersze 4-10 od góry: Szeregami trygonometrycznymi zajmowało się kilku matematyków. Z. Zahorski osiągnął między innymi bardzo mocny wynik budując przykład szeregu, który różni się tylko porządkiem wyrazów od szeregu Fouriera funkcji całkowalnej wraz z kwadratem, a jest rozbieżny na zbiorze miary dodatniej. Podobny przykład anonsował wielki matematyk radziecki Kołmogorow, ale go nie ogłosił. Przykład Zahorskiego i metoda jego konstrukcji wywołały duże zainteresowanie specjalistów.

Strona 12, wiersze 15-5 od dołu: W zakresie funkcji rzeczywistych jednej zmiennej rzeczywistej pracowała głównie szkoła łódzka (Z. Zahorski, J. Lipiński i ich uczniowie). Tematyka tych prac obejmowała mnogościową charakterystykę różnych klas funkcji rzeczywistych zmiennej rzeczywistej, zbiorów, w których funkcje lub ciągi funkcji określonego typu mają określoną własność itd. Nie jest to wprawdzie najmłodniejszy w tej chwili na świecie kierunek badań, ale trzeba stwierdzić, że szkoła łódzka osiągnęła w tych badaniach prawdziwe mistrzostwo, dochodząc do rezultatów, których nie przekroczyli na ogół uczeni innych krajów (na przykład wyniki Zahorskiego co do funkcji pochodnych, twierdzenia Lipińskiego o punktach rozbieżności ciągu funkcji ciągłych do nieskończoności i wiele innych).

Wymieniony w cytacie prof. zw. dr hab. J. St. Lipiński, b. dyrektor Instytutu Matematyki Uniwersytetu Gdańskiego, jest najwybitniejszym z uczniów Z. Zahorskiego. W r. 1965 był już znany fenomenalny wynik prof. Lipińskiego, lepszy od cytowanego, o rozszerzaniu okresowym i ciągłym z pewnych zbiorów domkniętych nieograniczonych dowolnej funkcji relatywnie jedno-

stajnie ciągłej na takim zbiorze i ograniczonej (z okresem do znalezienia, na ogół nie jednoznacznie), lecz wynik ten nie dotarł do Komisji opracowującej materiał do cytowanego artykułu.